

Adolf Bocheński

Między Niemcami a Rosją

Trzy zasady

[...]

W polityce zagranicznej – jak i we wszystkich innych dziedzinach życia narodowego – są pewne imponderabilia, których w żadnym wypadku naruszyć nie wolno. Od zwykłych twierdzeń politycznych różnią się one tym, że nie są to sądy o środkach prowadzących do pewnych celów, ale ogólnie obowiązujące bezwzględne normy działania. Drugą zaś cechą imponderabiliów jest powszechność ich uznania wśród myślącej kategoriami narodowymi opinii. Praca nad sformulowaniem tych zasad nie jest też właściwie pracą twórczą, lecz raczej podchwyceniem pewnych podstaw oficjalnej polityki państwa z jednej strony, głębokich fibrów narodowej opinii publicznej z drugiej. Pozornie niekiedy oddalone – oba te bieguny nie tracą właściwie nigdy bliskiego ze sobą kontaktu psychicznego. W jakiej mierze uda się nam taką polską doktrynę sformułować w następujących trzech paragrafach – to już oceni sam czytelnik.

§1. Rzeczpospolita Polska nie może w żadnym wypadku zgodzić się na okrojenie swych granic wyznaczonych traktatem wersalskim i ryskim.

Prawda ta jest tak oczywista, że nie potrzebujemy jej oczywiście uzasadniać. Jest rzeczą jasną, że obrona naszych granic musi być pierwszym i najważniejszym celem polityki polskiej. Przy tym należy sobie zdawać sprawę, iż granicom naszym grozi ciągle niebezpieczeństwo. Jeżeli w dzisiejszym położeniu trudno mówić o widmie sejmu grodzieńskiego, to na odwrót bardzo wyraźne jest widmo Trianonu, tzn. takiego okrojenia granic Rzeczypospolitej, jakiego doznały Węgry po wojnie światowej.

Granice państw nie są czymś stałym i nieruchomym. Państwa zdawałoby się najspokojniejsze, Holandia, Belgia, Dania i Hiszpania, kilkakrotnie zmieniały swe granice w ciągu ubiegłego wieku. Byłoby iluzją przypuszczać, że wystarczy w polityce zagranicznej nic nie robić, by zachować nasze granice. Wręcz odwrotnie. *Utinam falsus vates sim!* Wydaje mi się jednak, że dzisiejszy układ sił europejskich, jeżeli nie ulegnie radykalnej zmianie, prowadzi do wielkich klęsk dla Polski. Chwila krytyczna nastąpi wtedy, gdy na widownię dziejów wystąpi znów porozumienie niemiecko-rosyjskie. Dlatego nie wystarczy urządzić wiec i krzycheć, że nie oddamy ani piędzi ziemi. Musi się jeszcze pomyśleć, jakie zmiany muszą nastąpić w konfiguracji terytorialnej Europy, abyśmy jej istotnie nie musieli utracić.

Kiedy Dybicz ze stosunkowo słabą armią znajdował się nad Wieprzem, a reszta wojsk rosyjskich była dopiero w marszu, Skrzyneckiemu wydawało się, że wystarczy nie ponieść klęski, by zachować powstanie. W istocie było odwrotnie. Powstanie mogło zwyciężyć, ale obrona kraju musiała być przeprowadzona aktywnie. Hasło obrony naszych granic musi być również pojmowane aktywnie. Musimy zrozumieć, że tylko radykalna zmiana konfiguracji terytorialnej Europy Wschodniej może nas w przyszłości uchronić przed koalicją niemiecko-rosyjską. Jedynie zaś radykalna zmiana konfiguracji terytorialnej Europy Środkowej może nam stworzyć jednolite fronty sprzymierzeńców na wypadek tej koalicji. Taranem zaś, który może te zbawienne dla nas zmiany przeprowadzić, jest dziś Rzesza Niemiecka. Z państwem tym Polska niewątpliwie w przyszłości znajdzie się w konflikcie. Starcie nastąpi prawdopodobnie już w chwili ewentualnej regulacji stosunków w Europie Wschodniej czy Środkowej. Zasadniczo jednak umożliwienie Niemcom i Italii wysiłku w kierunku zburzenia obecnej konfiguracji Europy Wschodniej, leży po linii polskiej racji stanu.

Powiedzieć, że nie oddamy ani piędzi ziemi, tzn. dziś to samo co powiedzieć, że jesteśmy nastawieni rewizjonistycznie. W razie bowiem nowego porozumienia Niemiec

i Rosji deklamacje mogą się okazać dość iluzoryczne.

§2. Rzeczpospolita Polska nie może w żadnym wypadku zawdzięczać integralności swych granic pomocy jednego ze swych sąsiadów.

Powyższa zasada, drugi punkt polskiej doktryny Monroego wydaje się być równie oczywista, jak i pierwsza. O ile była niewątpliwie rzadziej formułowana przez naszą politykę oficjalną, o tyle w opinii publicznej znalazła tym świetniejszy wyraz. Mam tu na myśli rozdział poświęcony polityce zagranicznej w *Idei Polski* Władysława Grabskiego, w którym niewątpliwie znajdujemy tę myśl przewodnią. O ile można nie zgadzać się z pewnymi koncepcjami społecznymi czy gospodarczymi byłego premiera, o tyle przyznać trzeba, że w tej książce wzniosł się on na najwyższy stopień oderwania od kryteriów grupowych i przejęcia się losami narodu.

Był niestety taki okres w dziejach Polski, w którym całość granic Rzeczypospolitej opierała się na pomocy ze strony sąsiadów. Mamy tu na myśli epokę ciągnącą się od pierwszego rozbioru aż do początków sejmu czteroletniego. Faktyczna obrona granic polskich przez Rosję w okresie prokonsulatu Stackelberga, wobec nieustającego imperializmu pruskiego, musiała z konieczności przyczyniać się do ciągłego utrzymywania Polski pod opieką rosyjską. O ile by w naszych czasach Rzeczpospolita zawdzięczała znów swoją całość opiece czy gwarancji jednego ze swych sąsiadów, należałoby się spodziewać szybkiego powrotu do stanu ówczesnego i dlatego tego rodzaju ewentualność nie może być przez nas w żadnym wypadku brana w rachubę.

Ale z tego paragrafu wypływają też inne konsekwencje, których nie sposób niedocenić. Istnieje u nas tak zwana „teoria równowagi” głoszona przez wielu publicystów i polityków. Teoria ta polega na twierdzeniu, że Rzeczpospolita powinna dążyć do utrzymywania równowagi między Rzeszą Niemiecką a ZSRR i nie dopuszczać, by jedno z tych państw nadmiernie osłabiło drugie. Podstawą tego twierdzenia nie może być jednak nic innego jak nadzieja, iż w pewnym wypadku jedno z dwu państw sąsiednich mogłoby nas bronić przed drugim. Gdyby tej ewentualności nie można było w ogóle brać pod uwagę, nasuwałoby się pytanie, dlaczego osłabienie jednego z dwu sąsiadów przez drugiego miało być dla Rzeczypospolitej szkodliwe.

Otóż wraz z przyjęciem, że granice RP nie mogą być broniące ani przez Rzeszę Niemiecką, ani przez ZSRR, załamują się także podstawy teorii równowagi. Powinna ona ograniczyć się raczej do twierdzenia, że w interesie RP nie może być nadmierne wzmocnienie jednego z jej dwu sąsiadów. Natomiast osłabienie jednego z nich w żadnym wypadku nie może być uważane za rzecz szkodliwą. Nawiązując do przewidywania zatargu niemiecko-rosyjskiego, które stanowi oś tych wywodów, musimy podkreślić, że ochrona potęgi rosyjskiej nie może w żadnym wypadku wchodzić w zakres zainteresowań RP. Może być jedynie mowa o przeciwdziałaniu nadmiernemu wzmocnieniu Rzeszy Niemieckiej wskutek załamania się ZSRR. Stwierdzenie to rzuca np. światło na najgorsze dla naszej racji stanu w ogóle wydarzenie, jakie mogłoby nastąpić w Europie, tzn. na skomunizowanie Rzeszy Niemieckiej, wskutek jakiejś jej porażki. Tego rodzaju zdarzenie stosunkowo bardzo znacznie wzmocniłoby bowiem Związek Radziecki, mało przyczyniając się do osłabienia naszego zachodniego sąsiada. Odwrotnie natomiast podział Rosji na szereg państw narodowych, przyniósłby bardzo znaczne jej osłabienie, stosunkowo nieznaczne wzmocnienie naszego sąsiada zachodniego. Z drugiego punktu polskiej doktryny Monroego wypływałaby więc nieinterwencja w razie możliwości znacznego osłabienia któregoś z naszych sąsiadów, interwencja w razie perspektywy znacznego jego wzmocnienia.

§3. Pochłonięcie przez wielkie imperializmy małych państw, względnie narodów bezpieczeństwa, leżących w sferze naszego zainteresowania, jest sprzeczne z interesem Rzeczypospolitej.

Ta trzecia część imponderabiliów polskiej polityki zagranicznej posiada tę wyższość

nad poprzednimi, iż sformułowana została nie tylko przez opinię publiczną i politykę oficjalną, ale także w chwili największego rozkwitu potęgi mocarstwowej Rzeczypospolitej była jej linią wytyczną. Nie kto inny tylko hetman i kanclerz wielki koronny – Jan Zamoyski – sformułował ją najdokładniej w odniesieniu do zagadnień południowej i środkowej Europy. Jego walka z jednej strony z imperializmem habsburskim a z drugiej z imperializmem tureckim stanowi też ciekawą analogię do dzisiejszej sytuacji politycznej. Zabawną losów kolejną, właśnie współczesny historyk czeski p. Macurek może najtrafniej i najinteligentniej sformułował politykę Zamoyskiego, która dziś powinna stanowić substrakt do antyczeskich i prośłowackich poczynań Rzeczypospolitej.

Jest rzeczą najzupełniej oczywistą, że w interesie państwa polskiego leży obrona państw małych i narodów ujarzmionych przeciw wielkim imperializmom. Aczkolwiek również w interesie Europy i pokoju leży oparcie państw na zdrowych podstawach narodowych, to jednak nie może tu chodzić o żadną donkiszoterię polityczną, lecz o interes polski. Wojna światowa posunęła silnie naprzód proces oparcia się państw na narodach. Należy tu oczywiście odróżnić między panowaniem w prowincjach nadgranicznych, gdzie czysta zasada etnograficzna nie da się nigdy i nigdzie przeprowadzić i gdzie rozstrzygać będzie tylko siła, a między opanowaniem całych narodów przez obecne potęgi. Otóż jest rzeczą pewną, że na terenie Europy Wschodniej jest jeszcze cały szereg takich niezałatwionych problemów, żeby choć wymienić Ukrainę, Słowaczczyznę, Azerbejdżan, Gruzję itd. Poza tym cały szereg istniejących państw jest zagrożonych przez potężne imperializmy naszych sąsiadów. Otóż powodzenie planów zaborczych, tych ostatnich, jest niewątpliwie sprzeczne z interesem Rzeczypospolitej. Pokój *à la longue* zapewnić może jedynie decydowanie narodów o swoich losach. Zasada „nic o nich bez nich”.

Mówmy konkretniej. W Europie XIX wieku było dwu chorych ludzi: Turcja i Austria. Były to państwa mieszczące w swych granicach nie tylko mniejszości z prowincji pogranicznych – co jest normalne – ale całe narody pożądamy niepodległości. Dzisiejsza Europa liczy znów dwu chorych ludzi: ZSRR i republikę czesko-słowacką, z możliwym do rozwiązania jedynie na drodze chirurgicznej problemem słowackim.

W XIX wieku Rosja carska wyciągała ręce po spadek po chorych ludziach owej epoki. Dziś dla odmiany po spadek ten zgłaszają się Niemcy i Węgrzy. Mamy więc koncepcję Niemiec hitlerowskich polegającą na aneksji czy protektoracie nad całym południem Rosji Sowieckiej i eksploatacji ekonomicznej obszarów, z drugiej węgierską koncepcję aneksji całej Słowaczczyzny. I w tym świetle dopiero ukazuje się prawdziwy sens trzeciego punktu polskiej doktryny Monroego. Punkt ten to wytyczna dla rozwiązania kwestii „des hommes malades de l'Europe” nie tyle według wskazań dziewiętnastowiecznego imperializmu, ile według odwiecznych wskazówek polskiej racji stanu oraz interesów sprawiedliwości i pokoju europejskiego. Jedynie tylko zasada „nic o nich bez nich”, zasada przeciwstawienia żywych sił narodowych imperializmom wielkich mocarstw, może wytworzyć na naszych granicach taką konstelację, która raz na zawsze zapewni nam spokojną granicę na wschodzie, przez wzajemne neutralizowanie się powstałych tam państw narodowych i spokojną granicę na południu. Nikt nie może twierdzić, żeby w interesie Polski było czuwanie nad integralnością Rosji Sowieckiej, czy Czechosłowacji. Musimy być cyniczni. Nie chodzi nam już o umierającego, ale musimy myśleć o spadku. Spadek ten nie może być uregulowany sprzecznie z polską doktryną Monroego, z ideą Polski XX wieku.

Mówi się o idei XX wieku w Polsce dużo i w sposób bardzo niekonkretny. Mało kto zdaje sobie sprawę, że właściwie jesteśmy jej nosicielami już od wieku XVI, że ostatnim wielkim jej realizatorem był Józef Piłsudski w roku 1920, że odżyła ona obecnie w świetnym sformułowaniu naszej oficjalnej polityki zagranicznej. Podobnie jak wiek XIX widział kolejne rozpadanie się chorych ludzi Europy, podobnie i w wieku XX będziemy prawdopodobnie obserwowali coś podobnego. Otóż w stosunku do tych procesów powinna

w polskiej opinii publicznej wykrystalizować się odnośna doktryna, odnośna idea. Będzie to idea prometejska. Idea samostanowienia o sobie narodów zamieszkujących sąsiadujące z nami państwa. Polska opinia publiczna powinna zdać sobie sprawę, że kardynalnym nakazem naszej racji stanu jest dążenie do utrzymania na swych granicach jak największej ilości organizmów państwowych. Dlatego nierozumne byłyby jakiegokolwiek wysiłki w kierunku obrony całości ZSRR, czy Czechosłowacji. Gra zacznie być dla Polski i jej doktryny ważna, gdy wejdzie w grę obrona powstających na gruzach chorych organizmów państw, przed imperializmami z innej strony.

Tak wyglądałyby wnioski praktyczne z tych wywodów. Może jednak pożytecznym będzie jeszcze raz przejść zasadnicze podstawy teoretyczne, na których doszliśmy do ich sformułowania:

I. Polityka państw w ogóle, a naszych sąsiadów w szczególności jest rzeczą zmienną. Należy liczyć się z nawrotami korzystnymi dla nas u tych, z którymi mamy złe stosunki, niekorzystnymi u tych, z którymi mamy dobre. Każde państwo rozporządza jednocześnie kilkoma programami polityki zagranicznej, które mogą pozyskać dla siebie politykę oficjalną i opinię publiczną. Doświadczenie wykazuje, że programy te kolejno przychodzą do głosu. Kto by się liczył np. z tym, że stosunek dzisiejszy Rosji i Niemiec do Polski nie ulegnie w przyszłości – może nawet bliskiej – zasadniczym zmianom, ten by popełniał ten sam błąd, co człowiek, który w lipcu przypuszcza, że w grudniu będzie upał. Dlatego zawsze bezpieczniej jest dążyć do rozkładu sąsiadów, jak spodziewać się, że będą z nami w zgodzie.

II. Nie należy przeceniać wpływu motywów wypływających spoza państwowej racji stanu na politykę państw. Aczkolwiek zupełnie niewątpliwie odgrywały one i odgrywają zawsze pewną rolę, niemniej nigdy ta rola nie dawała się porównać z dążeniem do wzmocnienia państwa. Opierać politykę polską na nadziejach, że Rzesza Niemiecka będzie wbrew swemu interesowi narodowemu prowadzić politykę pochodzącą wyłącznie z niechęci do komunizmu w Rosji, tzn. chcieć budować zamki na lodzie, względnie kręcić bicze z piasku.

III. W epoce naszej nie można spodziewać się znacznego wzrostu sił Rzeczypospolitej i przywrócenia równowagi z sąsiadami drogą pozyskania nowych terytoriów. Współczesne państwo wzmacnia się tylko dzięki przyłączaniu prowincji zamieszkiwanych przez naród w państwie tym rządzący. Wszystkie inne nabytki – jeżeli nie są dobrowolne – przynoszą państwu jedynie osłabienie.

IV. Siła państwa jest w dużej mierze odwrotnie proporcjonalna do siły jego sąsiadów. Zasada ta oczywiście nie może być przyjęta bez zastrzeżeń. Niemniej jednak w generalnych liniach jest prawdziwa. Wobec niemożliwości znacznego wzmocnienia państwa polskiego – za wyjątkiem Śląska Cieszyńskiego – drogą nabytków terytorialnych, jedyna droga do przywrócenia narzuconej od XVII wieku równowagi sił, to rozkład wewnętrzny jednego lub kilku naszych sąsiadów i podział ich na parę państw nawzajem się zwalczających.

V. W naszej epoce wobec siły idei narodowej nie można myśleć o podziale jednolitego państwa narodowego na kilka organizmów państwowych. Nawet o ile ten podział istnieje od wieków, zagraża mu szybki koniec, jak było we Włoszech lub jak jest dziś z Austrią i Niemcami. Jedyna podstawa, na której mogą powstawać dziś nowe organizmy państwowe, to idea narodowa, ta, która dziś walczy z imperializmem sowieckim na Ukrainie, w Białejrusi, w Gruzji i w Azerbejdżanie lub na Krymie.

VI. Państwo, które pragnie jednocześnie realizować wszystkie swe żądania polityczne, względnie jednocześnie wszystkie swe żądania wysuwać, to państwo, które z góry swą grę przegrało. Największe sukcesy w polityce zagranicznej ostatnich wieków były osiągnięte polityką ofiary. Jeżeli generacja nasza chce dokonać coś naprawdę wielkiego w dziejach Rzeczypospolitej, jeżeli generacja nasza chce nie tylko utrwalić dokonane przez Piłsudskiego odrobienie wieku XVIII, ale także odrobić wiek XVII, musi wiedzieć, że do wielkich

wyników dojść można tylko drogą ofiary. Jest to prawda nieprzyjemna, ale najbardziej zasadnicza. Myślmy o Cavourze, o Bismarcku i o ich metodzie tworzenia wielkich mocarstw.

VII. Przynależność naszych prowincji kresowych do państwa zależy przede wszystkim od siły państwa, tzn. od jego armii i sytuacji międzynarodowej, nie zaś od tak abstrakcyjnych zasad prawnych jak „Principe des nationalités”. Każde relatywne wzmocnienie sił państwa polskiego w stosunku do jego sąsiadów, a więc w tym wypadku w stosunku do Rosji przez jej rozkład i podział na kilka państw – wzmocni właśnie naszą pewność odnośnie do utrzymania w naszych rękach dawnych prowincji zabranych i Galicji wschodniej.

Granice relatywizmu politycznego

St. Mackiewiczowi poświęcam

I. Herezje

Biedna ta zasada relatywizmu politycznego. Biedne twierdzenie, iż potęga państwa jest odwrotnie proporcjonalna do siły państw i narodów, z którymi ma ono sprawy sporne. Tyle już na ten temat napisano bzdur, nonsensów, lub też najgorszych - bo tylko z lekka mijających się z prawdą - rzeczy. Znakomity zdawałoby się publicysta Roman Dmowski twierdził przecież niedawno, iż w interesie państwa jest raczej mieć w swym sąsiedztwie potężne mocarstwo, jak „międzynarodowy dom publiczny”. Ten chyba najdalej posunął się w herezji politycznej. St. Mackiewicz - któremu przecież sam miałem przyjemność wyklądać treść relatywizmu politycznego, w czasie pewnej przechadzki po parku ponikiewskim - stał się zbyt gorliwym wyznawcą i wygłasza w swych artykułach często nieco zbyt apodyktyczne na ten temat sądy. Nawet tu - w samym sercu obozu relatywistycznego - w „Buncie Młodych”, głoszone niedawno niepokojącą modyfikację naszego twierdzenia - ograniczając je do „sąsiadów”. Głosy te, i wiele innych jeszcze, wskazują, że warto temu na pozór ściśle teoretycznemu zagadnieniu poświęcić parę uwag.

Sprawa to bowiem tylko na pozór teoretyczna, w istocie swojej zahaczająca jednak o najistotniejsze zagadnienia naszej racji stanu. Niedawno pewien wybitny publicysta tłumaczył mi z dużą werwą, iż należy przeciwdziałać zlaniu się Ukraińców Galicji i Wołynia, gdyż byłoby to jednocześnie jednym z naszych sąsiadów, gdy tymczasem dobra polityka nakazuje zawsze dążyć do ich osłabienia. Była to oczywista herezja z pozorami prawdy. Dlaczego tak jest - postaramy się uzasadnić poniżej. Jakże często słyszymy znów jakieś mętne echa poglądów Alberta Sorela na stosunek Francji do zjednoczenia Niemiec i jakieś mętniejsze jeszcze nadzieje na ponowny podział Rzeszy Niemieckiej, który rzekomo miał już nastąpić po wojnie światowej? Wszystko to, a przy tym całe mnóstwo ocen historycznych wypływa z niezrozumienia relatywizmu. Zbyt zaś pochopne wyciąganie z niego nieprawdziwych twierdzeń, prowadzi krytyczniejsze umysły do zupełnej negacji prawdziwości zasady relatywizmu z jeszcze większą szkodą dla polskiej myśli politycznej jak nadmierna przesada w tej dziedzinie.

Poniższe wywody nie roszczą sobie pretensji do wyczerpania ogromnego zagadnienia i ograniczają się do rzucenia nań nieco światła. Zajmiemy się kolejno: 1) granicami, które teoria polityczna musi nałożyć zasadzie relatywizmu, niezależnie od epoki i 2) znaczeniem praktycznym zasady relatywizmu politycznego specjalnie w naszej epoce. Zanim zapuszczę się w gąszcz tych wywodów nie mogę nawet zwrócić się do czytelnika z baudelairowskim apelem:

„Lecteur paisible et bucolique,
Sobre et naïf homme de bien,
Jette ce livre saturnine”.

[„Mój czytelniku sielankowy,
Trzeźwy, naiwny i cnotliwy,
Rzuć prędzej tom ten niegodziwy”

– Charles Baudelaire, *Epigraf dla potępionej książki*, tłum. Bohdan Wydzga]

Ograniczę się więc do proszenia czytelnika który nie lubi zbyt długich i oderwanych wywodów o natychmiastowe zaprzestanie tej lektury.

II. Zasada i trudności.

Twierdzenie iż państwo jest tym silniejsze, im inne państwa są słabsze, wydaje się teoretycznie i dedukcyjnie najzupełniej słuszne i wytrzymałoby prawdopodobnie nawet próbę badania logicznego. Siła państwa na zewnątrz przejawia się bowiem w możliwości niepodlegania woli innych państw oraz w możliwości narzucania im swojej woli. Przejawia się więc w chwilach, w których istnieje sprzeczność zdań między dwoma państwami, w jakichkolwiek sprawach terytorialnych czy innych, czyli w chwilach, w których istnieje między dwoma państwami antagonizm czy konflikt. Nie ulega też z drugiej strony najmniejszej wątpliwości, iż konflikty i antagonizmy międzynarodowe odgrywają rolę bądź to w upadku znaczenia państw, bądź to w zwiększeniu się ich potęgi. Droga ku górze jest jakby etapami znaczone zawsze pomyślnymi rozstrzygnięciami sporów z innymi państwami. Nawet w dziejach stosunkowo zdawałoby się tak niezależnych od międzynarodowych spraw spornych jak dzieje Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, widzimy cały szereg spraw spornych rozwiązanych na korzyść tego mocarstwa i znaczny wzrost jego potęgi. Będzie to przede wszystkim wyswobodzenie się spod władzy angielskiej, druga wojna z Anglią, przeciwstawienie się interwencji Chateaubrianda i związana z tym doktryna Monroego, wojna z Meksykiem i aneksja prowincji południowych, przeciwdziałanie interwencji Napoleona III w Meksyku, wojna z Hiszpanią, konflikt z Niemcami w sprawie wolności mórz. Wreszcie obecna polityka Stanów Zjednoczonych, iż postąpiliśmy tutaj z możliwie największym poświęceniem, wybierając przykład państwa, które stosunkowo najmniej w swym rozwoju zawdzięcza sprawom międzynarodowo spornym, stosunkowo najwięcej rozwojowi wewnętrznemu. W Europie sytuacja przedstawia się jeszcze zgoła inaczej. Tak np. olbrzymi wzrost potęgi Niemiec wskutek działalności Ottona Bismarcka może być zrozumiany jedynie poprzez zwycięskie załatwienie antagonizmu Prus z Austrią oraz z Francją, warunków zjednoczenia Niemiec. Zgódźmy się, iż załatwienie takie lub inne spraw spornych między państwami jest nie tylko miernikiem ich rzeczywistej potęgi, ale także najważniejszą drogą, po której państwa posuwają się naprzód, lub cofają się w międzynarodowym wyścigu nacjonalizmów do możliwie największej potęgi politycznej.

Otóż jeżeli raz przyjmiemy, iż zasadniczą sprawą w historii politycznej potęgi państw jest takie lub inne załatwienie spraw spornych z innymi państwami, to łatwo zrozumieć, iż wynik konfliktu zależy nie tylko od siły jednego z państw, ale także od siły względnie słabości drugiego państwa. Nie chodzi nam tu oczywiście jedynie o konflikt zbrojny, ale także o konflikt dyplomatyczny, taki jak między Thiersem a mocarstwami w roku 1840 w sprawie egipskiej, jak między Mussolinim a Wielką Brytanią dzisiaj. Wynik takiego antagonizmu zależy więc nie tylko od siły państwa A, ale również od siły względnie słabości państwa B. Oto całe twierdzenie o relatywizmie politycznym.

Doświadczenie dziejowe w całej swej osnowie na pierwszy rzut oka zdaje się potwierdzać naszą zasadę. Stąd szła starożytna zasada *divide et impera* [dziel i rządź – red.]. Stąd słynny wiersz Wergilego: *tu regere imperio populus romana memento, parcere subiectos et debellare superbos*. Już dawne państwo Achemenidów dążyło do podziału Grecji między dwie zwalczające się potęgi Aten i Sparty, nie dopuszczało do zjednoczenia pod jednym przewodem. Cesarze niemieccy i królowie czescy przeciwstawiali się zjednoczeniu Polski. Kazimierz Jagiellończyk usiłował nie dopuścić do zjednoczenia Wielkiego Nowogrodu i Pskowa z Rosją. Richelieu wszelkimi siłami dążył do ustabilizowania podziału Niemiec. Historia zdaje się być jednomyślna w potwierdzeniu zasady relatywizmu.

Ja wohl Majestät, aber... brzmiała sakramentalna formuła rozmówców Wilhelma II. Musimy z niej tu skorzystać. Jeżeliby ktoś na podstawie powyższych rozumowań i przykładów chciał twierdzić, iż racja stanu państwa wymaga stale dążenia do osłabienia i podziału wszystkich państw, z którymi posiada ono sprawy sporne, musielibyśmy zarzucić mu fałsz. Polska na początku XVIII wieku miała niewątpliwie konflikty i antagonizmy nie załatwione zarówno ze Szwecją Karola XII jak i z Ukrainą Mazepę. A jednak w interesie Rzeczypospolitej w chwili Połtawy było nie osłabienie tych dwu państw, ale wręcz odwrotnie ich wzmocnienie. Były i konflikty między Anglią a Rosją w czasie wojny światowej. Było między innymi mnóstwo spraw spornych. A jednak nikt nie powie jakoby w interesie Wielkiej Brytanii w ciągu wojny światowej było osłabienie Rosji. Takich przykładów moglibyśmy cytować całe dziesiątki. W każdym razie tą samą ilość, co przed chwilą cytowaliśmy na poparcie twierdzenia o odwrotnie proporcjonalnym stosunku potęgi państwa do siły tych, z którymi ma ono punkty sporne.

Jak więc widzimy sprawa jest delikatna. Fałszywa interpretacja relatywizmu politycznego mogłaby przynieść wprost fatalne wyniki i wątplenie w jego sens w ogóle. A jednak jest to twierdzenie słuszne, wymaga jednak pewnego ograniczenia.

III. Sprawa kolejności antagonizmów.

Jednym z najbardziej emocjonujących momentów w dziejach manewru sierpniowego 1920 roku, jest rola armii konnej gen. Budionnego. Gdyby armia konna była zdążyła na czas spod Zamościa

na tyły trzeciej armii polskiej, stanowiącej prawe skrzydło grupy manewrowej, historia byłaby się może potoczyła innymi szlakami. Marszałkowi Piłsudskiemu udało się jednak pokonać przeciwników kolejno. Najpierw armie północne. Później armię konną. Podobnie jak w strategii, tak i w polityce sprawa kolejnego załatwiania spraw spornych z różnymi państwami była zawsze sprawą zasadniczą. Gdy pisaliśmy powyżej, iż sposób załatwiania tych spraw spornych stanowił zawsze jedno z najważniejszych zagadnień dla potęgi państwa, to stąd wynikało, iż wiele bardzo zależy od pomyślnego wyniku konfliktów. Otóż jest rzeczą niezaprzeczną, że szanse powodzenia są tym większe, im bardziej w danej chwili udaje się państwu ograniczyć się do jednego tylko przeciwnika, z pozostawieniem na boku innych. Dążeniem racji stanu państwa było, jest zawsze - a w każdym razie powinno być - załatwianie w pewnej chwili sporu tylko z jednym przeciwnikiem, nie zaś z wszystkimi na raz. W przeciwnym razie grozi bowiem niepomyślnie załatwienie wszystkich spraw. Jest to niewątpliwie podstawowa zasada państwowej racji stanu i zarazem główna osnowa pracy dyplomatycznej wszystkich naprawdę wybitnych mężów stanu. Potwierdza ją zarówno rozumowanie dedukcyjne jak i doświadczenie dziejowe. Dla przykładu przypomnijmy Napoleona I i jego upadek spowodowany głównie tym, że pod koniec swojego panowania - w przeciwieństwie do jego początków - nie udawało mu się załatwiać kolejno swych sporów z rozmaitymi antagonistami, lecz musiał z nimi mierzyć się jednocześnie. Wilhelm II zakończył swe rządy katastrofą przede wszystkim dlatego, iż pragnął jednocześnie realizować swą przewagę morską, popierać pretensje bałkańskie Austro-Węgier, wzbraniać Francji Maroka itd. Przeciwnie, głównym powodem sukcesów Bismarcka była umiejętność kolejnego rozstrzygania spraw spornych z Austrią i z Francją. Zresztą nie potrzebujemy dalej cytować, gdyż rzecz wydaje się oczywista.

Otóż jeżeli racja stanu państwa wymaga by w pewnej chwili załatwiony był antagonizm jedynie z jednym państwem, nie zaś z wszystkimi, to stąd już wynika, że zasada relatywizmu politycznego, tak ściśle związana z pojęciem antagonizmu i spraw spornych, powinna stosować się w pewnej chwili tylko do jednego antagonisty. W przeciwnym razie bowiem dążenie do osłabienia innych państw musiałoby wywołać niewątpliwie zaostrenie antagonizmu z nimi, a co z tego wynika, stanąć w sprzeczności ze zasadniczym wskazaniem, iż państwo w pewnej chwili powinno starać się możliwie załatwiać swe sprawy sporne z jednym przeciwnikiem, nie zaś z wieloma. Stąd już wynika nowe sformułowanie naszej tezy: Zasada relatywizmu politycznego odnosi się jedynie do jednego państwa, z którym uregulowanie spraw spornych jest w danej chwili nakazem racji stanu, nie zaś do wszystkich możliwych antagonistów.

Mój przyjaciel więc, który klarował, iż Polska w myśl tej zasady powinna sprzeciwiać się zlanu Wołynia i Galicji w jedną całość psychiczną (tzn. Ukraińców zamieszkałych w obu prowincjach), nie miał racji. Aby ją miał, musiał bowiem uprzednio jeszcze udowodnić, iż w interesie polskiej racji stanu jest obecnie antagonizm z narodem ukraińskim, nie zaś z innym jakimś czynnikiem międzynarodowym, czy z państwem. Nie zapominajmy bowiem, iż relatywizm w pewnej chwili powinien stosować się tylko do jednego przeciwnika, z którym racja stanu w danej chwili nakazuje sprawy sporne na korzyść załatwiać z wyłączeniem innych.

IV. Nawias

Otwórzmy nawias i powiedzmy, iż tak oczywiste twierdzenie jak to, że w interesie państwa jest swe sprawy sporne załatwiać nie jednocześnie, lecz o ile możliwości kolejno, jest bardzo często zapoznawane i że stąd pochodzą największe błędy i najcięższe dekonfitury. W dzisiejszej sytuacji polskiej rozumiem - aczkolwiek się z nimi nie zgadzam - tych, którzy by pragnęli dążyć przede wszystkim do niedopuszczenia do rozwiązania na naszą niekorzyść spornych spraw z Niemcami, rozumiem i zgadzam się z tymi, którzy by pragnęli przede wszystkim usunąć na stałe niebezpieczeństwo zagrażające nam ze strony wschodu rosyjskiego. Są to może koncepcje mniej lub więcej słuszne i mniej lub więcej realne, ale w każdym razie logiczne. Natomiast w zupełności nie rozumiem tych, którzy by pragnęli utrzymywać „jednakowe stosunki” zarówno z naszym sąsiadem wschodnim jak i zachodnim. Założenie to teoretycznie mogłoby się opierać na pacyfizmie sprzecznym z dążeniem do potęgi państwa polskiego, mogłoby opierać się również na twierdzeniu, iż żadne sporne kwestie między Polską a Niemcami z jednej strony, Rosją Sowiecką z drugiej - nie istnieją. Wtedy byłoby to logiczne. O ile jednak przyjmuje się niebezpieczeństwo pochodzące z obu stron, musi się również zrozumieć, iż polityka „równowagi”, czy też „jednakowych stosunków” to polityka, która prowadzi do załatwienia kiedyś naszych spraw spornych jednocześnie z obu tymi państwami. To bülowszczyzna pełnej krwi. Polityka podobna do tej, którą stosował Bülow, który pragnął zachowywać te same stosunki z Rosją i z Anglią, a której rezultatem było złączenie się obu tych państw przeciw Rzeszy Niemieckiej. To już przypomina czasy najgorszej polityki Franciszka Józefa, kiedy w okresie wojny krymskiej, pragnął zachować „jednakowe stosunki” z Francją i z Rosją, rezultatem było zaś w

pięć lat później ściśle współdziałanie obu tych państw przeciw Austrii... Jest dla nas pewnym, iż jeżeli polityka państwa ma przynieść możliwie najlepsze rezultaty, powinna być na raz skierowana jedynie przeciw jednemu poważnemu przeciwnikowi, nie zaś przeciw wielu.

V. Zastrzeżenia.

Prawdziwość naszych twierdzeń wydaje mi się niezbita. Niemniej musi ona być wzmocniona zastrzeżeniami. Przede wszystkim należy sobie zdawać sprawę, iż ograniczenie w pewnej chwili ilości swych antagonizmów politycznych do minimum, tzn. do jednego państwa, wymaga zwykle pewnych ofiar. O ile wartość tych ofiar przekracza możliwy zysk polityczny państwa z korzystnego załatwienia spraw spornych, ze swym jedynym w danej chwili antagonistą, lub też o ile przekracza możliwe niebezpieczeństwa grożące z powodu ich niekorzystnego załatwienia, wówczas polityka ta nie jest słuszną. Jest to jednak zastrzeżenie czysto teoretyczne. Praktycznie wielkość ofiar koniecznych do odosobnienia swego wybranego w danej chwili antagonisty jest zwykle proporcjonalna do ważności sporu. Tak by w każdym razie logicznie być powinno. Nie należy również zapominać, iż Polska przez nieumiejętność uczynienia w roku 1790 ofiary z Torunia i Gdańska, utraciła niepodległość na lat 112. Cavour dla odosobnienia Austrii i pozyskania pomocy Napoleona III oddał mu Sabaudię i Niceę. Nie każdy mąż stanu jest tak szczęśliwy jak Bismarck, którego ofiary terytorialne polegały albo na obietnicach albo na rezygnacji ze zdobyczy (w stosunku do Austrii).

Drugim zastrzeżeniem, które musimy tu wysunąć, jest możliwość prowadzenia konfliktu czy antagonizmu z dwoma państwami jednocześnie, jeśli jedno z nich jest bardzo słabe. Tak np. Polska może jednocześnie prowadzić spór z Litwą i Rosją Sowiecką. W tym wypadku jednak zachodzi tylko różnica ilościowa. Po prostu całe zagadnienie traci wartość z powodu słabych sił jednego z przeciwników. Z drugiej strony nie należy jednak zapominać, iż uwięzienie paru korpusów niemieckich pod Antwerpią rozstrzygnęło o bitwie nad Marną. I armia belgijska odegrała więc pewną rolę.

Trzecim zastrzeżeniem musi być podkreślenie, iż nadzwyczaj często w praktyce sprawy te przedstawiają się bardzo płynnie. Tak jest mianowicie, gdy racja stanu państwa zaczyna wymagać porzucenia dotąd naczelnego antagonizmu i przerwania się do nowego, w danej chwili ważniejszego. Wówczas wytwarza się stan niepewny, w którym uwaga polityki państwowej kieruje się świadomie i słuszenie na dwie strony. Tak było np. gdy kończył się konflikt Anglii z Napoleonem, zaczynał się zaś z Rosją o posiadłości polskie. W ogóle polityka Anglii w XVIII i XIX wieku jest najlepszym przykładem, jakie znakomite rezultaty daje ograniczenie w praktyce antagonizmu politycznego w pewnej chwili do jednego państwa, najbardziej groźnego.

Oczywiście nie możemy tu wchodzić w pytanie, na jakiej podstawie tworzyć się powinien wybór kolejności załatwiania spraw spornych z rozmaitymi państwami. Do tego potrzeba by bowiem drugiego takiego artykułu. Może nawet o wiele większego.

VI. Relatywizm i kontrrelatywizm.

Widzieliśmy powyżej, iż w interesie państwa jest dążenie do osłabienia jednocześnie tylko jednego przeciwnika, nie zaś wszystkich. To twierdzenie posunąć można jeszcze dalej. Zdarza się nadzwyczaj często, iż w interesie państwa jest wprost już wzmocnienie jednego państwa czy narodu, nawet jeżeli się ma z nim sprawy sporne. Tak pomimo spraw Śląska w interesie Polski było wzmocnienie się Habsburgów w początkach XVII wieku. O tej ważnej prawdzie nie należy nigdy zapominać.

Tutaj chwila zdaje się stosowną, aby wspomnieć o tak często nadużywanej zasadzie „równowagi” czy też „silniejszego przeciwnika”. O ile się nie mylimy bowiem, jest to jedyny wypadek, w którym dążenie do wzmocnienia państwa czy narodu, z którym ma się sprawy sporne, jest uzasadnione. „Zasada silniejszego przeciwnika” polega na twierdzeniu, że o ile istnieje antagonizm między dwoma przeciwnikami państwa, należy poprzeć raczej słabszego przeciw silniejszemu, jak silniejszego przeciw słabszemu. Uzasadnienie tej zasady teoretyczne opiera się na mniemaniu, iż zwiększenie się siły każdego z dwóch państw walczących czy znajdujących się w sporze byłoby mniej więcej to samo w razie sukcesu jednego lub drugiego. W razie sukcesu słabszego antagonisty wzmocniłoby się państwo, z którym korzystne załatwienie spraw spornych byłoby łatwiejszym. W razie zwycięstwa silniejszego - odwrotnie. Empiryczne natomiast uzasadnienie tej zasady jest wprost olbrzymie. Obejmuje ono niewątpliwie dobrą ćwierć dziejów polityki zagranicznej. Wspomnijmy, iż cała krytyka polityki napoleońskiej opiera się na wytykaniu zwalczania Austrii, która w sporze z Prusami była już wówczas słabszym przeciwnikiem.

Otóż jeżeli zachodzi wypadek antagonizmu dwu państw jednocześnie również mających punkty sporne z państwem, z którego punktu widzenia wychodzimy, wzmocnianie państwa słabszego

jest często nakazem racji stanu. Mówimy CZĘSTO, nie zaś zawsze. Należy bowiem zrozumieć, iż cała ta kwestia jest tylko jednym czynnikiem wpływającym na linię polityczną państwa, nie zaś rozstrzygającą zawsze o niej dyrektywą. Nie można abstrahować i od innych czynników wchodzących w grę. Tak np. dla Polski w ciągu wojny siedmioletniej Prusy były słabszym przeciwnikiem, Rosja silniejszym. A jednak w interesie Rzeczypospolitej było wówczas wzięcie udziału w wojnie po stronie Rosji, gdyż była to znakomita okazja, by wzmocnić się kosztem Prus, o wiele ważniejsza od ewentualnej straty pochodzącej ze zwycięstwa silniejszego przeciwnika nad słabszym. Gdybyśmy abstrahowali od całej innej argumentacji i pod uwagę brali jedynie zagadnienie silniejszego i słabszego przeciwnika - niewątpliwie zasada ta byłaby prawdziwą. Ponieważ w grę wchodzi jednak także często inne argumenty również zaczerpnięte z racji stanu i często ważniejsze od problemu, którym się teraz zajmujemy, przeto w praktyce racja stanu nakazuje często iść właśnie wbrew zasadzie silniejszego przeciwnika, pomimo iż stanowi ona zawsze pewien argument, który należy położyć na szali. Niedawno miałem tego oczywisty przykład w rozmowie z pewnym bardzo wybitnym pisarzem politycznym, który dowodził, iż Niemcy są dziś silniejsze od Rosji i dlatego Polska powinna raczej poprzeć Rosję. Nie mogłem zaprzeczyć, iż jest to argument. Były jednak, jak sądzę, inne argumenty i o wiele ważniejsze - które nakazywały prowadzić politykę właśnie odwrotną.

To, o co nam chodzi teraz, to jednak tylko stwierdzenie, iż są wypadki, w których pomimo całej słuszności zasady relatywizmu w interesie państwa jest wzmacnianie innego państwa czy narodu, z którym posiada punkty sporne. Tak np. głębokim moim przekonaniem jest, iż dziś w interesie Polski jest wzmacnianie narodu ukraińskiego, podobnie jak w czasie wojny np. było w interesie Francji wzmacnianie królestwa włoskiego. Nakazuje to tym razem nie tylko zasada silniejszego przeciwnika (konflikt Ukrainy z Rosją), ale także i wszystkie inne najważniejsze argumenty polityczne, których obecnie nie sposób tu rozwijać.

W naszych ograniczeniach relatywizmu doszliśmy już dość daleko. Doszliśmy aż do twierdzenia, iż właśnie wzmocnienie niektórych państw czy narodów, z którymi racja stanu jest w antagonizmie bywa niekiedy w jej interesie. Obecnie przejdźmy do dalszej części naszych rozważań. Zastanówmy się mianowicie, jak przedstawia się zasada relatywizmu - dążenie do podziału i osłabienia swego antagonisty wybranego w danej chwili - w epoce dzisiejszej w porównaniu do czasów bardziej odległych.

VII. Relatywizm i imperializm.

Konflikty międzynarodowe dawały państwom zawsze dwa główne sposoby powiększenia ich niepodległości i możliwości narzucania swej woli innym państwom: pierwszy to był sposób imperialistyczny, drugi to sposób relatywistyczny. Przez imperializm rozumiemy tu wzmacnianie państwa drogą pozyskiwania dlań nowych prowincji, przez relatywizm osłabianie państw antagonistycznych, przede wszystkim drogą ich podziału na kilka nowych organizmów politycznych. Nie ulega wątpliwości, iż niegdyś pierwsze miejsce zajmował imperialistyczny sposób wzmacniania państwa. W okresach słabego rozwoju świadomości narodowej, przyłączanie do państw prowincji zamieszkiwanych przez ludność obcojęzyczną, nie powodowało zbyt dużych trudności. Z drugiej zaś strony dawało ono państwu duże zwiększenie siły finansowej i wojskowej, zależnej od ilości zaludnienia. Kiedy ks. Ernest Koburski proponował Franciszkowi Józefowi zamianę Lombardii na Mołdawię i Wołoszczyznę, cesarz skrzywił się mocno i powiedział, że prowincje te są pieniądze deficytowe. Franciszek Józef był już wtedy nieco przestarzałym w swych pojęciach politycznych. Już w połowie XIX wieku różnica między narodowo wysoko uświadomioną Lombardią a pograżonymi jeszcze we śnie prowincjami rumuńskimi była dla państwa olbrzymią. Mniej więcej do końca XVIII wieku skład narodowościowy dla wybranych prowincji nie odgrywał zbyt wielkiej roli i nie przysparzał państwu zbyt wielkich kłopotów. Kolonizacja Fryderyka Wielkiego polegała na tym, iż porwał z Polski zdrowych chłopów i obsadzał nimi prowincje śląskie. Narodowość tych ludzi nie miała znaczenia. Ważne było to, że byli to ludzie zdrowi, tzn. zdolni do opłacania podatków i służby wojskowej.

Od początku XIX wieku aż do końca wojny światowej można było obserwować rosnące trudności imperializmu terytorialnego, najpierw w Europie, wreszcie i w innych częściach świata. Postępowanie z mniejszościami narodowymi jest rzeczą niesłychanie trudną. Wysiłki w kierunku asymilacji narodowej mniejszości nie dały dotąd w żadnym wypadku dobrych wyników, poczynając od końca XVIII wieku. Załatwienie spraw mniejszościowych prowadzi w końcu albo do przebudowy federalistycznej państwa, albo do stałego źródła jego słabości z powodu wrzenia mniejszościowego.

Sądzę, iż znajdujemy się dziś w epoce wyraźnego zmierzchu imperializmu terytorialnego w Europie. Dziś właściwie pożyteczne mogą być jedynie dwie formy tego imperializmu. Z jednej strony imperializm federalistyczny, którym zajmowaliśmy się niedawno na łamach „Buntu”. Ta forma jednak nie może się równać z dawnymi wynikami polityki imperialistycznej i jest niezwykle trudną do

wprowadzenia w życie. Ostateczne zaś jej rezultaty nie różnią się zbytnio od braku imperializmu w ogóle. Tak np. zachodzący związek między dominiami a Wielką Brytanią i brak związku w ogóle to rzeczy niewątpliwie nieco do siebie podobne.

Drugą formą imperializmu terytorialnego mającego - poza federalizmem - jakiś sens w naszych czasach, to dążenie do przyłączenia do państwa prowincji zamieszkiwanych przez narodowość rządzącą w danym państwie. Pobieżne nawet studium dziejów XIX wieku wykazuje, iż wielkie sukcesy mocarstwowe w tym okresie, były osiągnęte właśnie dzięki zjednoczeniu ziem zamieszkiwanych przez jeden naród. Tak było z Bismarckiem i Cavourem. Tak ze zjednoczeniem Jugosławii i Rumunii itp. Dziś procesy zjednoczeniowe są już w Europie na ukończeniu. Znajdujemy się więc niewątpliwie w okresie zmierzchu imperializmu.

Powyższe twierdzenia byłyby niewątpliwie zupełnie słuszne, gdyby nacjonalizm był dziś jedyną ideą regulującą stosunki międzynarodowe. Ponieważ jednak w rzeczywistości tak nie jest, przeto istnieją jeszcze pewne imperializmy - sprzeczne z nacjonalizmami podbitych narodów, a mające przeciwieństwo sens polityczny. Mamy tu na myśli imperializm oparty na tak silnie wiążącej ludzi idei jak komunizm, oraz imperializm rasowy tak dużymi powodzeniami cieszący się dziś w Mandżurii i w Chinach. Dla Polski te typy imperializmu nie mogą jednak wchodzić w rachubę. W każdym razie w sensie ofensywnym.

Jako sposób potężnego zwiększenia możliwości niepodlegania woli innych i narzucania własnej pozostaje więc dla współczesnego państwa środkowoeuropejskiego przede wszystkim relatywizm, czyli dążenie do osłabienia antagonistów drogą ich podziału państwowego. Oczywiście musimy tu dodać, iż w okresie panowania nacjonalizmu szanse tej polityki relatywistycznej istnieją jedynie w stosunku do państw, które narodowo są niejednolite i mogą być podzielone na kilka odrębnych organizmów narodowo-państwowych. Dla takiego państwa jak Polska, dla którego szanse imperializmu terytorialnego - poza niesłychanie trudnym federalizmem - nie istnieją, a które nie rezygnuje z roli, którą odgrywała na wschodzie w epoce Jagiełły i Władysława I, polityka relatywistyczna pozostaje jednak głównym środkiem zwiększenia tej potęgi politycznej i usunięcia grożących jej stale niebezpieczeństw.

Zasada relatywizmu politycznego, dążenie do podziału przeciwników, to nie jest rzecz nowa. Jeszcze Emilius Paulus po Pydnie dzielił Macedonię na 5 odrębnych republik. Jeszcze Richelieu w traktacie westfalskim wszelkimi siłami dążył do utrzymania podziału Niemiec. Publicysta Bainville pragnął, by skutkiem wojny światowej był w Niemczech powrót do stosunków z okresu westfalskiego. Bainville mylił się. W naszej epoce, w epoce nacjonalizmu, dzielenie państwa narodowego na kilka części samoistnych nie jest rzeczą trwałą i skuteczną. Niech świadczy o tym zresztą przykład Bułgarii i Rumelii z traktatu berlińskiego. W dzisiejszej Europie relatywizm może mieć olbrzymie zastosowanie, może pchnąć w górę o kilka szczebli potęgę niektórych narodów. Ale trzeba zrozumieć, iż odnosić się on może jedynie do państw narodowo niejednolitych, które mogą być podzielone na kilka państw narodowych. Takim państwem jest Czechosłowacja, takim państwem jest przede wszystkim Rosja sowiecka.

VIII. Uwaga aktualna

W chwili obecnej mamy w Rzeczypospolitej dwie wielkie szkoły polityczne. Jedna pragnie zachowania status quo na wschodzie, na zachodzie zaś dąży do zwycięstwa w dziejowym pojedynku polsko-niemieckim przez odzyskanie Prus Wschodnich i całego Śląska. Jest to szkoła narodowo-demokratyczna. Druga pragnie utrzymania status quo na zachodzie, sytuację Polski pragnie zaś polepszyć na wschodzie, nie tylko drogą nabytków terytorialnych, ile drogą usunięcia raz na zawsze niebezpieczeństwa rosyjskiego, przez podział naszego sąsiada wschodniego na kilka wzajemnie zwalczających się organizmów narodowo-państwowych. Jeden rzut oka na te dwa programy wystarczy, by zrozumieć, iż program antyniemiecki opiera się na hasłach przestarzałych, na nadziejach, których realizacja może państwo raczej osłabić jak wzmocnić. Nabytki terytorialne nad Bałtykiem, przy niemożliwości znacznego zmniejszenia potęgi narodowego państwa niemieckiego, to w najlepszym razie chwilowy kłopot z prowincjami czysto niemieckimi, później zaś na nowo krytyczna sytuacja między dwoma potężnymi blokami państwowymi. Program relatywistyczny to program usunięcia raz na zawsze z granic Polski jednego z dwu zagrażających nam niebezpieczeństw. Kto wie. Gdyby istniał dziś choć cień możliwości utrzymania podziału politycznego Niemiec sprzed roku 1866, może opowiedzielibyśmy się za ideą O.N.R-u w polityce zagranicznej. Ponieważ tej nadziei nie ma, przeto obowiązkiem naszym jest powiedzieć, iż sposobem wydobycia Rzeczypospolitej ze straszliwych kleszczy, w których się prędej czy później znajdzie, jest tylko i jedynie program relatywistyczny, podział Rosji sowieckiej na kilka państw narodowych. Nasza epoka to już nie *Das Zeitalter der Imperialismen*. To epoka relatywizmu politycznego.

IX. O Polsce 1919-1935

Czas kończyć. Zajmowaliśmy się powyżej jedynie zmianami we wzajemnych stosunkach sił państw, które pochodzą z ich konfliktów. W naszej epoce jednak zmiany te również zachodzić mogą bez żadnych antagonizmów, drogą ewolucji wewnętrznej, tej czy innej polityki ustrojowej czy gospodarczej. Może się nawet zdarzyć, iż potęga i znaczenie państwa wzrastają w stosunku do koncertu europejskiego, pomimo iż jednocześnie to samo się dzieje z najbliższymi antagonistami tego państwa. Jest nawet jedna dziedzina, w której osłabienie państw sąsiednich wprost powoduje osłabienie samego państwa. Mamy tu na myśli mianowicie rozwój gospodarczy tak ważny w naszych czasach. Tu istnieje jednak pewien rodzaj solidarności międzynarodowej. Wzbogacenie się jednego państwa powoduje raczej wzbogacenie jak zubożenie innego. Stąd pochodzi nawet pewnego rodzaju osłabienie relatywizmu w odniesieniu do państw o interesach światowych. Słynna wytyczna polityki brytyjskiej, polegająca na zrozumieniu, iż wojna gdziekolwiek na świecie wybuchająca musi zmniejszyć eksport angielski i dlatego jest szkodliwa, tłumaczy się niewątpliwie tym swoistym osłabieniem relatywizmu. Z drugiej strony nie przeszkadza to wcale elementarnemu faktowi, iż wzrost potęgi Stanów Zjednoczonych czy Japonii godzi niewątpliwie w światowe stanowisko Wielkiej Brytanii.

Zajmujące jest zagadnienie, jak z punktu widzenia teorii relatywistycznej przedstawia się historia polityczna Polski od roku 1918 do dziś. Wśród naszych polemistów znaleźli się tacy, którzy twierdzili, iż wzrost potęgi Polski w tym okresie, pomimo jednoczesnego odrodzenia politycznego i Rzeszy niemieckiej i Rosji sowieckiej świadczy o małym znaczeniu relatywizmu. Nie sądzę, aby tak było istotnie. Stosunek sił Rosji i Polski w tym okresie nie uległ wyraźnej zmianie na korzyść jednej lub drugiej strony. Z państw wychodzących zaledwie z chaosu wojenno rewolucyjnego stały się obie silnymi państwami militarnymi. Podobnie jak Polska w roku 1920 mogła Rosji przeszkodzić np. w aneksji Estonii, podobnie może to zrobić i dziś.

Natomiast wyraźnie na niekorzyść zmienił się stosunek sił Polski i Niemiec. Rzesza niemiecka w roku 1922 bezsilna nawet wobec Litwy, stała się dziś znów jednym z najpotężniejszych mocarstw wojskowych Europy. Trudno więc mówić dziś o zwiększeniu się możliwości narzucania przez Polskę swej woli w porównaniu do stosunków po roku 1920. Jeżeli ta zmiana na niekorzyść sytuacji nie daje się dziś odczuwać i wprost przeciwnie kraj nasz żyje w jakiejś euforii nadzwyczajnego rozwoju mocarstwowego, to dzieje się tak jedynie z powodu nadzwyczaj szczęśliwej konstelacji politycznej, polegającej na dość rzadkim w dziejach antagonizmie prusko-rosyjskim.

Powrót Niemiec do dawnej potęgi był zresztą rzeczą konieczną i przewidywaną. Niemniej oznacza on niewątpliwie spadek położenia Rzeczypospolitej Polskiej. Nie należy się łudzić, aby mógł on być wyrównany przez ponowny powrót Rzeszy do stanowiska powojennego. Jedynym sposobem trwałego jego wyrównania i ustalenia tej koniunktury politycznej, która umożliwiła zmartwychwstanie Rzeczypospolitej, byłby rozkład naszego wschodniego sąsiada na kilka państw narodowych.

X. Zakończenie.

A teraz czytelniku, który nie jesteś nacjonalistą, dla którego potęga Rzeczypospolitej nie jest jednym z najwyższych celów, czy nie dobrze radziłem ci na początku, by porzucić tę irytującą lekturę? Nie pozostaje nam więc nic innego, jak do pierwszej zwrotki cytowanej poprzednio dodać jeszcze drugą, specjalnie pod adresem naszych pacyfistów.

„Si tu n'as fait ta rhétorique
Chez Satan, le rusé doyen,
Jette ! tu n'y comprendrais rien ;
Ou tu me croirais hystérique”.

[„Jeśli ci obca moc Szatana,
I trafem po tę książkę sięgniesz –
Rzuć! - Nie zrozumiesz, lub przysięgniesz,
Że moja muza obłąkana”.
– Charles Baudelaire, *Epigraf dla potępionej książki*, tłum. Bohdan Wydzga]

Książka *Między Niemcami a Rosją* ukazała się w XXX. Przytoczone fragmenty pochodzą ze stron XXX-XXX.

Artykuł *Granice relatywizmu politycznego* ukazał się na łamach „Buntu Młodych”, 1935, nr 25